

WIDNOKRAĆ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY



JEST TO PORA ROKU, KIEDY PTAKI przestają śpiewać, a niebo traci swój czysty błękit. W lakierowanych liściach pomarańczowych drzew płoną jaskrawe kule dojrzałych już owoców, a nadbrzeżne agawy nie wydają się już tak soczyste i świeże, jak w blaskach upalnego słońca. Nawet modry Adriatyk — „Plav Jadran” — staje się szary i kapryśny.

Jest to pora roku, kiedy z luksusowych hoteli i wygodnych campingów uciekają ostatni turyści, a na miejscu pozostają sami swoi. Od morza, jedna po drugiej, nadciągają szalejące wichrami burze, a lejące z olowianego nieba strugi deszczu równają dzień z nocą. Tylko zwyczajne, codzienne życie toczy się jak wszędzie na świecie, gdziekolwiek ludzie rozpalili ognisko domowe.

Po sezonie

Hotel jest bardzo stary — i gdy tylko od morza nadejdzie burza, jego ściany zaczynają żyć własnym życiem. Coś tam skrzypli w drzwiach, coś łka za oknem.

Towarzystwo tego wieczoru było bardzo dobrane: cztery dystyngowane damy, ubrane ze skromną elegancją, o misternie ułożonych srebrnych lokach. Jednakowe, omal ciemne suknie odróżniały od siebie jedynie ozdoby: tu kołnierzyk z kremowej koronki, tam sznurek perełek, szal, broszka wreszcie. Cztery damy jakby wprost ze starego portretu.

Jadalnia była ciemnawa: ciężkie story na oknach, brązowa boazeria, pokrywająca ściany, z rzadka rozwieszona lampy w kształcie świeczników — wszystko stwarzało nastrój, jaki musiał tu panować w czasach, kiedy ten hotel podejmował swoich pierwszych gości.

Pośrodku wielkiej, a pustej teraz prawie sali stał rozłożysty, kaflowy piec, który służył raczej do wytworzenia nastroju niż do ogrzania tak rozległego wnętrza. Przy stoliku tuż obok pieca siedział barczysty mężczyzna „w sile wieku” i z zainteresowaniem przyglądał się towarzystwu.

Wtem z hałasem otworzyły się drzwi i wtoczył się przez nie chybottliwym krokiem zażywny staruszek. Już od drzwi wołał: — Szczęśliwych świąt! Dużo radości w wigilijny wieczór!

Był to bowiem dzień 6 stycznia, co wedle prawosławnego kalendarza oznaczało wieczór przed świętami.

Cztery panie przy stole wyraźnie się ożywiły; staruszek witał się radośnie ze wszystkimi. Jego żarty, rubaszny śmiech, przekomarzenia się z paniami wypełniły radosnym hałasem całą salę. Kelner z młodym pomocnikiem zaczęli wносить tace i napoje. Po chwili doszły jeszcze dwie panie, młodsze nieco, modniej ubrane, z ufarbowanymi na czarno włosami. Można było podawać. Ale zanim kelner zdążył podejść do jednej z pań z tacą w rękę, staruszek wstrzymał go władcym ruchem ręki i zawołał w kierunku samot-

nego gościa przy piecu: — Hola, młody człowieku, chodźże do nas! Nie będziesz tak siedział sam w taki wieczór!

Nie było sposobu wykręcić się: mężczyzna wstał, skrepowany nieco swoim sportowym strojem, tak nie pasującym do uroczystego nastroju towarzystwa.

— Jestem doktor Moma —

Kelner podszedł do doktora i coś mu szepnął na ucho.

— Przepraszam państwa — doktor wstał — właśnie nadszedł mój kontrahent w sprawie parceli.

— Ach, ci młodzi, dla nich nic świętego — burknął starszy pan. Ale już po chwili z wesołym uśmiechem wznosił toast: za zdrowie uroczych pań, w których gronie tak

nikt się nie obejrzał. Bufetowa sama przyjęła zamówienia. Albańczyk ze swoimi chłopcami zamówili tylko herbatę i z dużego worka, który był ich bagażem, wyciągnęli pajdy chleba.

Małemu — gdy tylko podjadł sobie — zaraz zaczęły kleić się oczy.

— Dokąd tak podróżujesz? — zapytała od sąsiedniego stolika jakaś kobieta.

— Będziemy jechać jeszcze całą noc, aż za Skopje, w góry — odrzekł Albańczyk. — Starszy syn był tu u gospodarza, a teraz musi wracać do domu, robić na swoim. Młodszego przywiozłem na zamianę gospodarzowi, ale nie chciał. Powiedział, że to jeszcze dzieciak.

— A po co wam starszy chłopak?

— Idę za kratki. Puścili mnie tylko, żebym starszego przywiózł. Ubiłem człowieka... — odrzekł z całym spokojem, głosem pełnym godności.

Kobieta tylko w milczeniu pokiwała głową.

— Stare porachunki. Jeszcze za ojców... — dodał w zamysleniu Sziptar.

W starym gnieździe, w Banja Luce

Dżamila jest teraz w Paryżu. Wysłano ją na stypendium naukowe, które dopomóż jej uporać się z pracą doktorską z dziedziny socjologii. Stary Admir skwitował uśmiechem tę zachciankę córki. Życie nauczyło go tej prostej mądrości: to, co jest szczęściem ukochanej osoby, jest też naszym szczęściem.

Od czasu gdy kobiety postawiły na swoim i zdjęły z twarzy kwef, postanowił zezwolić dzieciom, by obrały sobie takie życie, jakie im się marzy. Ale w jego domu na co dzień muszą uszanować dobre obyczaje ojców.

Najstarszy syn — Ismail został profesorem, Ahmed — lekarzem, Avde cieszy się poważaniem w Banja Luce. A

Spotkania nad Jadranem

Zimowe obrazki ze słonecznego Południa

przedstawił się — z Belgradu.

— A my jesteśmy pensjonariusze — odpowiedział za wszystkich wesoły staruszek. — Co roku o tej porze przenosimy nasz „dom starców” nad Jadran, żeby starym zwyczajem spędzić tradycyjne święta. Wy tam, młodzi, już tego nie pamiętacie. No, pan. Pan — na przykład, po co tu przyjechał?

— Przyjechałem kupić parcelę pod letni domek — wyznał z zażenowaniem doktor z Belgradu — teraz, zimą są tańsze...

— Ha, ha, ha — zaśmiał się starszy pan — nie zgadłem! Tylko interes może ich, mieszczuchów, ruszyć zimą z Belgradu. No, powiedz, mój drogi, czy Zatoka Kotarska zimą brzydka? A może Jadran nie taki?

— Noo, przy takiej ulewie jak dziś — próbował zaprzeczyć doktor.

sobie oto przyjemnie powita jeszcze jeden nowy rok!

Vendetta

Na małej stacyjce w Zelenicy czekało na przesiadkę zaledwie parę osób. Uwagę zwracał stary „Sziptar” — Albańczyk w półkożusku i okragłej czarnej czapeczce z filcu. Był nieogolony, zaniedbany. Wraz z nim podróżował gapowaty wyrostek i mały, rezolutny chłopaczek o żywych czarnych oczkach.

— Pociąg przyjeździe dopiero za trzy kwadransy — powiedział konduktor z czerwona gwiazdą u czapki — możecie iść napić się kawy.

Za bufetem stała tęga blondyna w białym fartuchu i nakładała ogórki do słoja. Przy stoliku tuż przy drzwiach dwóch konduktorów, jeden cywil i kelner w białym kitlu grali w karty. Na wchodzących nawet



2 marca br. Teatr Słowa „Meluzyna” przy ZDK rzeszowskiej WSK przedstawił publiczności premierę rewii kabaretu starych piosenek, zatytułowaną „Cała przyjemność po naszej stronie”. Inscenizacja i choreografia Edward Odobny, kierownictwo muzyczne Leszek Steciak, scenografia Jerzego Szymańskiego. Kierownictwo artystyczne: Erazm Buchelt.

Na zdjęciu: wykonawcy programu.

Fot. M. KOPEC



Emil Granat

Odyseusze nie wyptyną

Rozpocznijmy owocobranie
w ogrodach Semiramidy. Wino
spłynie do konwi
jabłko spadnie na stół
dla najpiękniejszej.

Pasterze przyjdą sądzić. I będą
oglądać kształty, a miasta zamilkną
w zachwyceniu. Wyrok będzie ten sam, a
potem
nastąpi urodzaj i dojrzewanie. Obok
dzieci pogalopują w piaski na
drewnianych mustangach.

Będą Heleny i
Agamemnonowie będą następni
ale Troi nie powtórzą zburzonej — —

Odyseusze nie wyptyną z Itaki.

Tadeusz Kubas

Białe noce

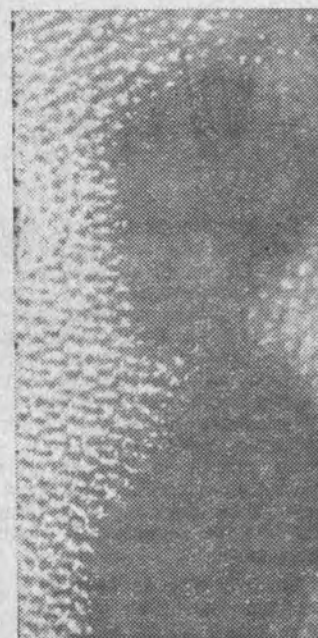
na kamieniu
białych nocy
serce
ciężką głowę
składa

ani sny
nie zwracają mi
ciebie

*

na ustach
smak nikotyny

Rzeszów — 1968 r.



Wiesław Kulikowski

Szkoda mi Ciebie

Szkoda mi Ciebie — Ty tak chciałaś,
by było dobrze, by żyć można —

A później nocą w śnie płakałaś

— i białym rankiem, w szarym płaszczu,
z walizką w ręce. — A w niej serce.
— Szkoda mi Ciebie.

Tu przyjechałaś aż z dzieciństwa.

I znowu — burza.

I noc chłodna.

— Znowu odjeżdżasz,

niepotrzebna.

Szkoda mi Ciebie.

— A tak chciałaś,

by wszystko jakoś się złożyło,

— Zostały kwiaty bez wartości

i jakieś bardzo nikłe wiersze.

Książka na stole.

Portmonetka.

Talerz rozbity z twoim cieniem. —

i przekreślony fragment życia,

który posyłasz.

— Szkoda mi Ciebie.



Zdzisław Ostrowski

Do siebie

Rodzi błękitem wody przypłynę
sięga źrenica toń kobaltu
Tak więc scaliłem twoje wargi
zamknięte uszy wiotka dłoń

Znika na wodzie kształt wilgoci
niknie ptak w punkcie mierząc czas
Ledwie dotknięta kształtem twarz
więc nie dosłyszę twego tętna

Zmęczony opadł w wodę ptak
zburzyły tafłę skonu kręgi
Nie zmrużę powiek póty trwasz
a trwasz dopóki słowo.



Jan Suberlak

W wieczór

W wieczornej toni w sennym sadzie
ptak niewidzialny o coś prosi,
a obłok się jak sarna kładzie
w srebrzącym się gwiazdzistym wrzosie.

W najcichszym domu na poddaszu
jest zegar. Bije sekundami.

Tak bym ci chciał zapach lasu
zasiać na wiosnę pod oknami.
I już bez żalu do nikogo
przysiąść u twoich dobrych kolan
strudzony całą moją drogą
jak ptak co siadł na brzegu pola.

W wieczornej toni w cichym sadzie
kładą się cienie drzew na trawie
księżyc trzepocze się w gwiazd stadzie
i krzyczą ciszy nieme pawie.

Zdzisław Teneta

Na Przełęczu Dukielskiej

Dzieli nas
rampa biało-czerwona
zaoranej ziemi
przygarść
dzieli nas bór
starszy o rok
i lzy kobiety
z pomnika

Mozaika barw
w opadających liściach

Wiatr
brukuje nimi drogę
pod szczyt
zastygłym czołgom

Czerwony
jest zachód słońca
nawet grzyby
są tutaj
czerwone



Patrz str. 6

Cecylia Blońska

Wąsy dla Walewskiej

To już nie przypadek. Najwrażliwiej działa marcową dekadą i ten jej dzień poświęcony wyłącznie kobietom.

Jakiegokolwiek bowiem przeglądam notatki, uwagi, jakie lubię sobie czasem również odnotowywać na marginesie czytanej gazety, roją się dosłownie od niewieściich spraw. Problemów zupełnie z wyciecznych, których jednak w ramach pełnego równouprawnienia nie zwykliśmy jakoś dostrzegać z taką ostrością w pozostałych miesiącach roku.

Właśnie gdy na kartach popularnego tygodnika dorysowywałam wąsy Marii Walewskiej, a organizator napoleońskich miłośników Talleyrand nagle okazał się całkowicie zmieniony na skutek kędzierzawych bokobrodów doprawionych fioletowym długopisem, sprawa, z którą do zebrań zwracał się stary, wyraźnie sterany już człowiek, pochłonęła moją uwagę, przerywając niewczesne rysunkowe figle.

Po prostu, nie dobierając wyszukanych słów, apelowałam o taki przydział pracy w zakładzie, który pozwalałby mu również bardziej rzetelnie zaopiekować się chorą żoną. Nie baczył na trudny nocny zmian, o które prosił, gotowy dzienny odpoczynek całkowicie poświęcić swojej towarzyskiej życia. Wymieniał jedną po drugiej z wycieczki domowe gospodarskie czynności, jakie spełniać musi, pomagając złozonej niemocą kobiecie. Nie narzekał, nie usiłował przedstawić swej ciężkiej doli jako krzywdzącego dopustu losu. Ale — dowodził — póki żyje, jestem jej winien wszystką troskę. — Tak powiedział: wszystką troskę.

I co podkreślenia godne, że kiedy zapytywałam onegdaj o to jak załatwiono jego prośbę, dowiedziałam się, że w całości, tak jak tego pragnął.

To dobrze, gdy za kobietą nie zawsze zdolną do starań, zabiegów, by nie użyć zbyt patetycznego określenia do walki o swe słuszne prawa, ma się kto ująć.

Słyszałam w sprawozdaniu sekretarza organizacji partyjnej na zebraniu sprawozdawczo-wyborczym wcale obszerny fragment dotyczący nie węzłowego bynajmniej zagadnienia zakładu. Podniosł sprawę zapomnianego jubileuszu, jaki placówka jego zdaniem winna była wieloletniej oddanej pracownicy, przodującej, mającej duży pozytywny wpływ na zatrudnioną młodzież. Nie żądał bynajmniej wielkiego „jubla”, imprezy przekraczającej możliwości, ale obowiązek uszanowania wieloletniego stażu uważał za niezbędny i ze względów wychowawczych. Pracownica, o której mówił siedzia-



Patrzą str. 5

ła na sali wśród licznych grona kobiet. Tylko młodzieńczy rumieniec, jaki oblał jej twarz aż po korzenie włosów, tylko pełne życzliwości porozumiewawcze spojrzenia towarzyszek zwróconych w jej stronę w tym momencie dowodziły, że ten niepozorny w aspekcie zasadniczych problemów produkcyjnych fragment partyjnego sprawozdania na pewno nie pozostanie bez wpływu na dalszy bieg stosunków ogólnoludzkich w zakładzie.

...Wertując zapiski z ostatniej konferencji prasowej w Wojewódzkiej Prokuraturze zakonto-wałam sądowy proces wytoczony w obronie starej pokrzywdzonej, wykorzystanej pomocy domowej. Jej dzieje to historia ciągle jeszcze nierządka na wsi. W Woli Zgłobieńskiej samotna kobieta latami haruje w zamkniętej zagrodzie, nie otrzymując za swój trud żadnego wynagrodzenia. Kiedyś nagrodą za sterane zdrowie i siły ma być zapis, poczyniony na jej rzecz przez sprytnego gospodarza. Oczywiście testament nie uwzględnił starej kobiety, której po śmierci właściciela gospodarstwa groził kompletna nędza (Sąd przysądził na jej rzecz zaległe wynagrodzenie w kwocie około 50 tysięcy złotych). Oto temat do sądowej kroniki, sprawa drastyczna, oczywiście bolesna.

Ileż razy jednak przechodzimy obok sytuacji, które również wymagałyby, jeśli nie doraźnej interwencji, to jednak sugestii pewnych zmian. Chociażby zmiany warty.

No, bo wyobraźmy sobie np. halę operatywną urzędu pocztowego w dużym mieście; taka poczta przyjmuje przesyłki pocztowe również i przeznaczone przez nadawców za granicę. I zauważcie to stanowisko pracy, na którym ekspediowane są paczki idące za granicę. To stoisko, zgodnie z wywieszką, winno również przyjmować listy ekspres, polecione, pobierać abonament radiowy, nie mówiąc już o podstawowym zadaniu sprzedaży znaczków pocztowych. I żeby na tej poczcie wielokrotnie dokonywano wymiany obsady stanowisk, zawsze, ale to zawsze owo najtrudniejsze, najbardziej pracochłonne, odpowiedzialne wymagające mnóstwa różnicowanych manipulacji powraca do tej samej urzędniczki. Chętniej, milej, rzeczywiście pracowitej, ale po latach tak rzetelnej służby zasługującej chyba na jakąś zmianę obowiązków w ramach tak wielkiej instytucji. Tym bardziej, że jak sięgnąć pamięcią wstecz, jej młodsze koleżanki z tegoż stoiska wielokrotnie już zdołały wymienić zakres swych obowiązków przechodząc z głośnej, trudnej hali operatywnej do bardziej kameralnych biur...

Lecz, czy na „publicznym widoku” otoczone kolejką niecierpliwych interesantów, czy w pokojach biurowych na górze, czy rozpoznawane po głosie w międzymiastowej centrali telefonicznej, są wśród nas. Wiemy gdzie ich szukać.

Nie o wszystkich mamy tak dokładne wiadomości. — Gdzie podziła się, niemiłosiernie ubrana, trochę dziwaczna stara kobieta, zawsze samotnie dokonująca skromnych zakupów na targu, którą straganiarki dla jej dawnych zasług tytułowały z szacunkiem pani nauczycielko? — Gdzie znana ongiś przodownica służby zdrowia zatrudniona w tym resorcie od r. 1918 do 1958, o którą na swym noworocznym wieczorze zapytywali renciści w swym klubie przy Szpitalu Wojewódzkim?

Kto o nas zapyta, kto pamiętać będzie o odchodzących jeśli nie my same. Nie liczymy na kronikarzy, na historyków, powieściopisarzy! Niech nas nie urzeka kariera Walewskiej, nie sugerujemy się pamięcią, która lat dziesiątki towarzyszy młodocianej szambelanowej z Walewic, przypominając ją każdemu pokoleniu od nowa. Czy po raz pierwszy spotkała Napoleona na Błoni, czy dopiero w cesarskich apartamentach Warszawy? Czy działała pod wpływem pałacowej kamarylli, wysoko tytułowanych rajfurów, czy też uległa władczemu cesarzowi na poły z miłości do ojczyzny, a na poły z wewnętrznością przekonania? Takie niezmiennie interesujące kobiety rozważania, jak doszło do tego, że uległa, literatura i historia rezerwuje li tylko dla wywołanych heroin. Niezależnie od naszej, czysto osobistej kwalifikacji.

Nie ludźmy się, że trafi się kronikarz skłonny notować i przysłym pokoleniom pokazywać tak skrupulatnie nasze codzienne sprawy, troski, sukcesy

Jakże byłoby to ładne i pożyteczne, gdybyśmy właśnie w okolicy 8 Marca (chociażby i do końca tego miesiąca) rozglądnęły się za naszymi siostrzycami. Nie za tymi akurat, którym się wiedz, które są blisko nas, którym na użytek i radość obraca się to wszystko co naszej kobiecie przyniosły zmienione warunki ustrojowe, i — przy wszystkich jeszcze trudach — jakże pomyślna aura dla kobiecych karier.

Zatroszczmy się przez moment o te, które uległy ziej doli, smutkom, zapomnieniu...

P.S. Wybierając się na 8-marcowe spotkania (pełno ich jest jeszcze w sobotę i w niedzielę) zaleca się co następuje: wziąć jakiegokolwiek konterfekt Walewskiej, dorysować mu wąsy. Oglądnąć dokładnie, a później swojej twarzy przyglądając się w lustrze. Ta konfrontacja z legendarną urodą da wam poczucie własnego uroku tak nieodparte, że gdy znajdziecie się na świątecznym zebranku, koleżanki, panowie niezawodnie skomentują wasze wejście słowami Nałkowskiej: „zachowywała się jak ktoś piękny”. Brawo.

— Kiedy 15 lat temu uroczyste rozpoczynano działalność przyzakładowej placówki kulturalno-oświatowej, popularnego obecnie w Stalowej Woli ZDK, nikt prawdopodobnie nie zastanawiał się, jaką treścią wypełnić należy powstałą budowlę. Okazały, choć jeszcze nie otynkowany „pałac”, budził dumę swoich przyszłych użytkowników oraz nadzieję miejscowego społeczeństwa, które spodziewało się zlikwidowania za jego pośrednictwem małomiasteczkowej nudy i uzupełnienia dotkliwej luki w jego kulturalnym życiu. Koncert inauguracyjny orkiestry Namyśłowskiego występującej na prowizorycznej scenie, nadzieje te podsycał. Entuzjazmu obecnych na inauguracji stalowowolan nie była w stanie zgasić „prowizorka” nie przygotowanej jeszcze, nie wy-

integracji. Oprócz działalności scenicznej, estradowej i różnych form ekspresji bezpośredniej — ZDK prowadzi szeroką działalność prelekcijną i odczytową, klubową, oświatową, a w szczególności kursy języków obcych, wieczornice, konkursy i zabawy oraz spotkania z ludźmi kultury, sztuki, teatru, nauki i sportu. Pracujemy w oparciu o plan zatwierdzony przez Radę Społeczną ZDK i Radę Zakładową Huty. Działalność nasza skupia się zasadniczo w czterech dziedzinach — upowszechnienia wiedzy wśród dorosłych, pracy z dziećmi i młodzieżą, w bibliotece oraz w dziale artystycznym. Pokrótkę może kierownik o poszczególnych pionach. Pierwocześnie do działu upowszechnienia wiedzy wśród dorosłych koordynuje przedsięwzięcia Klubu Miłośników Teatru, Dyskusyjnego Klubu Fil-

Kwadranś z Jozefem Bilińskim kierownikiem ZDK Stalowa Wola

posażonej w krzesła (zastępowały nieheblowane deski wsparte na klockach) sali widowiskowej. To była wielka chwila, wielki dzień małego wówczas miasta. Czerwień cegieł „pałacu” wzniesionego na „stalowowskim MDM” zdała się zapewnić mieszkańcom osiedla wszelkie przyjemności i rozrywki będące przywilejem mieszkańców metropolii. Wspaniałość stopniowo wykańczanej ogromnej hali, kolumny nie mniejszych reprezentacyjnych jej kulaarów, podsycały dumę pierwszych działaczy k. o. I dziś jeszcze, po 15 latach, działających nas od tego okresu — mimo że powstały w kraju dziesiątki podobnych placówek — słyszymy ciągle od przyjeżdżających gości: „Wspaniały, piękny, pałac”. Nasz entuzjazm znacznie zmalał. Słuchając pochwał, skierowanych pod adresem budowniczych „pałacu”, coraz częściej zaczynamy się krzywo uśmiechać, myśląc o trudnościach, jakie nam sprawia eksploatacja niezbyt szczęśliwie rozwiązanej wnętrza, w zestawieniu z codzienną działalnością. Potrzeby dzisiejszej chwili dyktowały np. wykrojenie z wielkich hallów szeregu pomieszczeń na pracownie, sale wykładowe i „studia”.

— Tym cenniejsze jest więc zajęcie w ubiegłorocznym Festiwalu Kulturalnym Związków Zawodowych pierwszego miejsca w kraju przez nasz zespół teatralny, a przez Zespół Pieśni i Tańca „Lasowiaczy” oraz zespół estradowy pierwszego miejsca w województwie. A jak panie kierowniku przedstawia się działalność kulturalno - oświatowa i wychowawcza wśród załogi huty i lech rodzin, jakie formy i metody pracy stosuje ZDK w swojej działalności?

— Staramy się zawsze wychodzić naprzeciw aktualnych potrzeb społeczeństwa i wpływać w decydujący sposób na przyspieszenie jego

Stalowa Wola jest miastem młodzieży. Czy każdy młody człowiek może należeć do zespołów domu kultury?

— Początkowe założenia, że z domu kultury może korzystać jedynie młodzież ta najlepsza, wykazująca się w szkole bardzo dobrymi wynikami w nauce i nienagannym zachowaniem — okazały się niesłuszne. Oczywiście, o wiele łatwiejsza byłaby praca z taką młodzieżą, na pewno uniknęłyby się problemów wychowawczych. Ale co robić z młodzieżą i dziećmi, które nie mogą się wykazać takimi atutami? Zostawić je na ulicy? Przecież przyczyna słabszych stopni i złego zachowania, nie zawsze jest winą tylko dzieci. Nie wyłącznie ilość spędzonych godzin nad książką decyduje o poziomie ucznia. Krzywdą byłoby uniemożliwić tym dzieciom, dla których los nie był za hojny, korzystanie z impre-

(Ciąg dalszy na str. 8)

„MAZEPA”



Krystyna Świerczewska

Barbujaż

Jest najpierw wiara w każde słowo, z wyjątkiem tych paru sprawdzonych, jak mama, jeść, cacy, fe; bo gdy nie ma mamy — niewiara, bo gdy głodno — fatalizm, bo gdy cacy jest fe i na odwrót — wiara staje się doświadczeniem. Jest później tak, że nie dziwią krasnoludki, koboldy, syreny; po prostu są w świecie parolotka na prawach tego jeść i cacy. Potem syreny odpływają na karty andersenowskich baśni — krasnoludki zostają jako pojęcie dobrotliwego cudu i zaczyna się czas powszechnego sprawowania rzeczywistości, w którym jest mało miejsca dla cudów dzieciństwa. A jeszcze potem nastaje era pierwszej dorosłości i pierwszych naukowo-artystycznych, przy tym własnych wizji świata. Era, którą też można byłoby nazwać erą pogardy dla prostoty artystycznej, erą eksperymentu za wszelką cenę, poszukiwań rzeczy dawno odkrytych, o których na razie jeszcze nie zdążyło się zapać wiedzy; częstokroć — wyważanie drzwi, których dawno nie ma, bo zmieniły się w ogromne okno na świat. I to jest ten rzeczywisty belle saison każdego młodego człowieka, kiedy chłonie się wszystko na zasadzie negacji, będąc w gruncie rzeczy entuzjastą optymistycznego ładu, namiętnym poszukiwaczem porządku oraz wyznawcą żarliwym każdej wiedzy. Bywa, że piękny sezon trwa do końca życia i ten infantylizm zupełnie mnie nie interesuje; jest mi z gruntu obcy, bo oznacza stagnację. Bywa, że znika za szybko i wtedy skłonnam powiedzieć, że w ogóle natrafił na niepodatną i niechłonną psychikę, co w końcu jest także mało interesujące. Bywa jednak, chyba najczęściej, że trwając lat parę, czy nawet lat dziesiątek pełny — prowadzi do mądrej stabilizacji pragnień, do okrzepnięcia intelektu i do własnej, uczciwej miary wartości działań artystycznych. I wtedy może powrócić wiara w koboldy i syreny na zasadzie każdej wiary w niemożliwe a piękne, która jak perpetuum mobile porusza myślących ludzi. I wtedy też może przyjść niewiara w cokol-

wiek, poza jedną pseudowartością, że nihil novi sub sole i dlatego wszystko jest marnością, a największą z marności jest człowiek, życie, czas. Kiedy to jednak nie przeszkadza w gromadzeniu dóbr doczesnych — widzę w takiej postawie albo sprzecznosc, albo niepiękne kłamstwo.

Naturalnym protestem przeciw zmysłowej piękności renesansowych świętych był klasycystyczny ideał człowieka; przeciw krzykliwej ekspresji romantyzmu — ściszość, ulotna impresja; inaczej może — przeciw nazwaniu zjawiska — zjawisko ledwie przeczuwane, formowane w wyobraźni. Odbieram to po prostu tak, że kiedy czegoś było nadmiar, zwyczajnie za dużo — trzeba to było zmniejszyć i wszystkie początki nowych prądów brały się chyba z protestu przeciw nadmiarowi. Happening też jest przeciw ustaleniemu porządkowi

sztuki, przeciw nadmiarowi, podobno — grzeczemu nadmiarowi, jaki ona niesie. Tyle że dla mnie jest on w ogóle poza sztuką, bo jest protestem, gdzie nadzwyczaj ważne są umiejętności prestigitatorskie, a te ze sztuką, o ile wiem, nigdy wiele wspólnego nie miały. Że uprawiają go artyści o znanych nazwiskach? Może sami u siebie dostrzegają melancholijny zmierzch wartości, kres odkrywania? Może przeciw sobie protestują? Co to ma jednak wspólnego ze mną, z nami — odbiorcami? Nie widzę, powiem szczerze, tu żadnych związków przyczynowych. I tak jak wydają mi się czystym szarlataniem i gielkowate wasy Salvatore Dali i jego publiczne ekscesy połączone z intelektualnym bełkotem, które w sumie pozostają poza jego oryginalnym, fascynującym malarstwem — tak i wszelkie barbujaże erotyczne, które

Do dziś mówi się o przeciwstawie Mickiewicza pod strzechą, jaką jest, wybaczyć słowo, mydło toaletowe, wypierające zdecydowanie obskurne mydło Schichta. I w te przetargi Mickiewicz — higiena wpada mi happening. Wtedy się po prostu denerwuję i czytam pocziwego Lavedana, czyli człowieka, który najsmędrzej uporządkował historię sztuki i ani przeczuł, że czekają nas jeszcze happeningi.

Zabawię się w demagogię: jednym z elementów kołobrzskiego happeningu była czynność, zatytułowana „kultura agrarna na piasku”, czyli sadzenie gazet; tyleż się znam na sadzeniu gazet co na sadzeniu ziemniaków, takiż urok odkrywam w kwitających ziemniakach co w sterzających z plaży hektarach drukowanego papieru; rozum mi wszakże dyktuje mój indywidualny protest przeciw takiej kulturze agrarnej, gdy jeszcze latają po świecie stada szarańcz i w sklepach brak zimną kartofli. Nie jestem po prostu znużona przesytem kartofla. Widzę jego miejsce w zupie i drugim daniu. Czuję jego smak, bynajmniej nie skażony kantorowską wizją kultury agrarnej. Jestem zwyczajnie poza.

Jestem przyjaciółką, może

mieszkańskiej kanapie. Jaż erotyzm wymieszał się tu z pięknem i harmonią ludzkiego ciała — tego już opisać nie potrafię. Obraz jest wszak do zobaczenia.

W happeningowym barbujażu erotycznym parę dziewcząt z całej Polski nurzało się w zagłębieniu przypominającym misę, w sosie pomidorowym. Erotyzm to może był — nie wiem. Później, ubrane tym sosem, może i trochę same przestraszone, że dały się nabrać na tę paranoiczną ekstazę, pierzchnęły w tłum, a tłum oszołomiony, rozstępował się przed nowoczesnymi kapłankami sztuki happeningu, uważając, by nie popaprać się tym sosem pomidorowym.

Gdzieś w tle kołysała się polsko-kantorowa „Tratwa Meduzy”, czyli naturalistyczna rekonstrukcja obrazu Théodora Gericault i właściwie ze sprawozdań z tej rekonstrukcji nie wiem, czy chodziło o ekspresję romantyczną wizji francuskiego romanetyka, czy też o zupełnie polski ekshibicjonizm i zupełnie ludzką nagość, zwaną tam wiernością oryginałowi: w tle — znany muzyk zawisnął na grubym sznurze i kręcił się ekstazyście wokół palika wbitego w plażę, obmyślając nową partyturę; z boku — sławny dyrygent desperacko zasłonił twarz połami fraka. A 2 tysiące ludzi na to patrzyło, nie wiedząc, czy to nowoczesna Apokalipsa z zupełnie autentycznym jeźdźcem, czy też powód do dużego śmiechu.

Francuzi powiadają, że śmiech zabija. Kantor — główny inspirator tego zabiegu chodzi żywy i oby Bóg mu sto lat jeszcze podarował; na temat śmiechności wolę się nie wypowiadać, bo to też wartość względna i czasem obracająca się przeciw nam samym.

Jestem wszakże znużona czytaniem sprawozdań, w których nieznanymi autorzy usiłują mnie przekonać, że dostatecznie znużona sztuką, by zachłystywać się happeningiem; znużona tym bardziej wtedy, kiedy nie do końca jeszcze rozgryzła, czy Freuda wstęp do analizy — to dzieło genialne. Znużona — gdy się zastanawiam, czy znajomi mi ludzie, wspólnie ze mną dostrzegą urok starych ikon. Czy świętek z Bobowej — to produkt autentycznego twórcy czy też epigona, przeczuwającego li tylko urok sztuki ludowej.

Przerazona — gdy słyszę o napalmie i zafascynowana — gdy o przeszczepie serca. Gdy liczę dni Bleiberga. Gdy patrzę na dojrzewanie chłopca i dziewczyny, którzy en deus nie słyszeli o Gierymskim, Grotterze, Statlerze. Znużona — gdy mój syn zapytuje: czy telewizja to największy wynalazek XX wieku i wyraźnie szuka potwierdzenia w moich oczach. Znużona przepaścią, jaką przeplawia moje poznanie rzeczy uznanych jako ważne raz na zawsze — od tych, które zaledwie przeczuwam. Znużona, gdy zaglądam do słownika francusko-polskiego, by upewnić się raz jeszcze co do znaczenia słowa barbouillage i znajduję obok tych utartych, powszechnych jego znaczeń, jeszcze jedno: k i c z.



Nowa premiera Teatru im. Wandy Siemaszkowej przyniosła tragedię romantyczną Juliusza Słowackiego „Mazepa”.

Spektakl reżyserował gościnnie prof. Marian Wyrzykowski, a interesującą scenografię przygotowała Łucja Kossakowska. Marian Wyrzykowski w swoim exposé na temat zamierzeń reżyserskich, umieszczonym w programie tak pisze: „...Jest w tym utworze nieśmiertelne piękno teatru romantycznego. Sytuacja, gest, ruch, napięcie, niecodzienne konflikty, poparte wspaniałą charakterystyką postaci i pięknym językiem polskiego”.

„Mazepa” rzeszowski odniósł się do dramy Słowackiego z należnym pietyzmem; w spektaklu widać kult dla słowa poetyckiego, dla rytmu wiersza, mówionego z nader zmiennym szczęściem przez wykonawców. Któż bowiem grywał Mazepę: sam jego dzisiejszy reżyser przed 34 laty, sam wielki Juliusz Osterwa i bardzo dobry aktor — Czesław Wołłejko; któż Amelię — sama Siemaszkowa, sama Modrzejewska i jeszcze Barszczewska, Wysocka, Romanówna; Wojewo-

dę grywali Adwentowicz, Frenkiel, Bolesław Leszczyński; Jana Kazimierza — Jerzy Leszczyński, Kreczmar, Holoubek, a Zbigniewa kreował sam wielki Węgrzyn. Jest to więc tragedia dla mistrzów sceny i mistrzów słowa.

W rzeszowskiej premierze Amelię gra Irena Angerman, Mazepę — Henryk Gońda, Wojewodę — Zdzisław Kozień, Króla Jana Kazimierza — Stanisław Bieliński, Zbigniewa — Adam Raczkowski, Chmarę — Ireneusz Erwan, Kasztelanową — Irena Żuromska, Księżdzę — Tadeusz Mroczek.

Wyrzykowski kłopotce się w programie: czy widz dzisiejszy przejmie się losem bohaterów tragedii; czy uda mu się pokazać całe piękno zawarte w tym utworze? Pierwszy szkolny spektakl „Mazepy”, dany w ubiegłą niedzielę w Rzeszowie, mógłby zapewne odpowiedzieć na te pytania... K. S.

Podpis pod zdjęcie: Osoby: Zdzisław Kozień (Wojewoda), Tadeusz Mroczek (Szlachcic), Stanisław Bieliński (Król), Henryk Gońda (Mazepa).

zaprezentował w lecie na największym happeningu świata w okolicach Kołobrzega Tadeusz Kantor zdają się być poza sztuką tego bardzo znanego, zawsze pozostającego w awangardzie aczkolwiek kontrowersyjnego malarza.

Prywatnie nie wiem doprawdy nie o rzeczywistych znużeniach i rzeczywistych przesytach malarza Dali, muzyka Cage'a czy ojca happeningu Ivesa Kleina, zmarłego przed 14 laty; na domiar mojej ignorancji także niewiele wiem o rzeczywistych stanach psychiki polskiego prekursora happenisty — Tadeusza Kantora. I właściwie nie wydaje mi się ważna ni konieczna taka wiedza. Przypuszczam jednak odrobinę wiedzy o stanie psychiki polskiego odbiorcy, któremu daleko do znużenia, przesyty i tym podobnego bagażu społeczeństwa znużonego kulturą, sterroryzowanego pozytywnie i negatywnie cywilizacją, zawojowanego sztuką.

Do dziś nie bardzo wiemy, co to jest kultura masowa. Do dziś słyszę protesty przeciw temu terminowi, uzasadnione słusznie sensownym dobijaniem się o uznanie wartości samego pojęcia kul-

nie jak Francis Carco w swojej milej książeczce wszystkich — ale przynajmniej jednego malarza: malował raz przy mnie krowę i kartofliśko. Siedzieliśmy sobie w pocziwej Babicy, słońce zachodzące przegłądało się w Wisłoku, ugrowa krowa chleptała wodę, pachniały zagoni kwitających ziemniaków i było piękniej niż w o-brazie, bo nie interweniował tu rozum, lecz sama wrażliwość. W obrazie tej godziny przeniesionej na płótno był już pierwiastek rozumu przyjaciela — malarza; toteż dziś, patrząc na jego płótno z tamtej godziny, nie myślę o krowie, kolorze jej łat, zapachu ziemniaczanego kwiatu, lecz o kulturze jego umysłu, jego wrażliwości, jego własnego odbierania świata i porównuję ją z moim wrażeniem tego odbierania, z tym, co ja sobie o tej godzinie, o tym nastroju i o tej urodzie świata pomyślałam wtedy i myślę dziś. Ileż tu spraw, ileż sum nastrojów, ile zmienności nieuchwytnych a do nazwania!

Jest piękny obraz Suzanne Valadon — matki Utrilla, gdzie naga kobieta leży w pozie sultanki na starej



Patrz str. 6

